

# „Araukana” w tłumaczeniu Czesława Ratki

**Florian Śmieja**

W numerze 7-8.2015 „Odry” sygnalizowałem ukazanie się pierwszego tomu hiszpańskiej epopei „Araukana” w przekładzie Czesława Ratki. Teraz doczekaliśmy się drugiego tomu tego zdumiewającego przedsięwzięcia. Tłumacz w jednym z listów obrazuje ogrom pracy „przełożyłem 2241 oktaw i zostało jeszcze tylko 391”.

Gdy wśród rzesz oszołomów, których nieba nam nie oszczędzają, pojawi się nagle olśniewający fantasta, mamy rzadką okazję do niezwyyczajnej radości. To takimi fenomenami winne się szczyć społeczeństwa chcące uchodzić za cywilizowane. Dlatego ogromnie się cieszę, że mój krótki wypad do Polski w maju 2015 obok zdobycia rzadkiego dyplomu i hiszpańskiego orderu, pozwolił mi poznać w ostatnim dniu mojego pobytu, heroicznego tłumacza „Araukany”, Czesława Ratkę. Jego niezwykłość polega na tym, że odebrawszy zrozumiałe na Śląsku wykształcenie i wykonując wyuczony zawód inżyniera, nie kontentował się, ale poszedł za głosem serca i poświęcił się jego trudnym, ale wzniosłym namowom. Przyswoił sobie w konsekwencji piękną mowę kastylijską, by przełożyć na kunsztowny język polski zacną epopeję przedstawiającą dumne zmagania bitnych plemion indiańskich z konkwistadorami Nowego Świata. Te piękne królewskie oktawy, które nam Ratka stwarza, najlepiej świadczą o jego zwycięskiej przewadze w tak ambitnym zmaganiu. Chylę czoła przed jego wspaniałym przedsięwzięciem. Swój przekład zaczyna tak:

*Nie o miłości śpiewam, nie o damach*

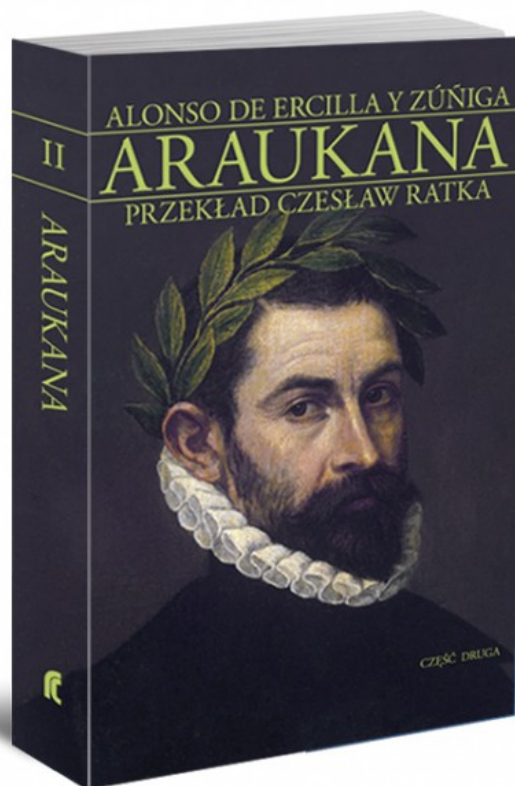
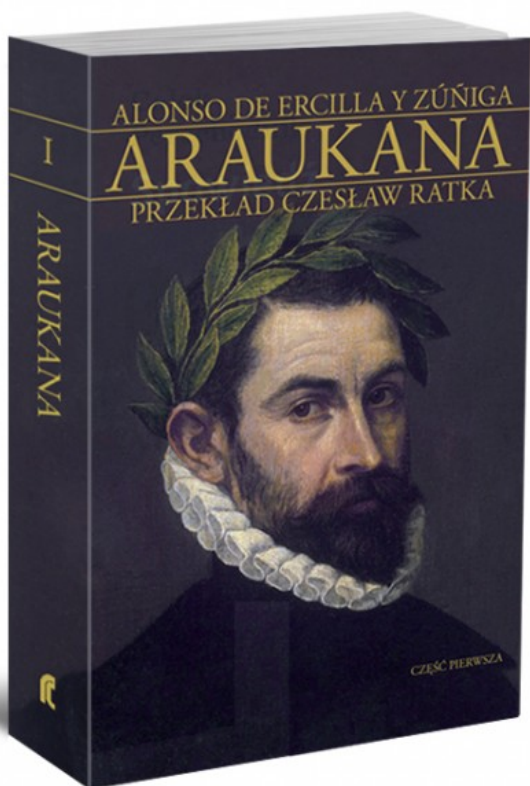
*Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,*

*Nie o ich troskach, czułościach, staraniach,*

*Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,*

*Lecz o odwadze i o dokonaniach*

Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,  
Którzy na karki wolnych Araukanów  
Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.



### **Od tłumacza i wydawcy**

Wszystko, co napisałem w tekście Od tłumacza dołączonym do mojego przekładu części pierwszej Araukany, również w części drugiej zachowuje swoją aktualność; dlatego ograniczę się tu jedynie do pokazania różnic między nimi. Pierwsza przedstawia przebieg zbrojnego zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (w epopei nazwanych Araukanami) przeciwko inwazji Hiszpanów do czasu przybycia Ercilli do Chile – czyli znany mu jedynie z opowiadania innych osób; druga jest jego relacją o tym, w czym osobiście wziął udział. Pierwsza jest spontaniczną reakcją młodego

wrażliwego człowieka na falę nowości zewsząd atakującą jego zmysły i pobudzającą wyobraźnię; druga jest efektem głębszych przemyśleń, po części inspirowanych, być może, głosami krytyki.

Poeta tworzył pierwszą część Araukany przez dwanaście lat. Jej publikacja przyniosła mu uznanie i sławę, a tym samym zachętę do tworzenia następnych pieśni. Praca nad drugą częścią (pieśni XVI-XXIX) trwała kolejnych dziewięć lat i kiedy wreszcie doszło do jej wydania (w roku 1578), od zakończenia walk upłynęło już lat dwadzieścia. Tymczasem w Europie działy się sprawy bliższe ówczesnemu czytelnikowi i bardziej niż wydarzenia chilijskie istotne dla jego przyszłości. Sukcesy militarne Filipa II, a szczególnie zwycięstwo w bitwie pod Lepanto - największej bitwie morskiej wszech czasów - pozwalające mu lepiej zapanować nad Morzem Śródziemnym i przyhamować ekspansję Imperium Osmańskiego, zdawały się sytuować Hiszpanię na pozycji najpotężniejszego państwa na świecie - i tym zapewne żyli wtedy jej mieszkańcy.

Ercilla, uznany i ceniony poeta, świadomy ciężącego na nim obowiązku pisania o sprawach aktualnych i ważnych dla kraju i króla, a jednocześnie niedopuszczający myśli, że mógłby nie wywiązać się z danego słowa i porzucić niedokończoną Araukanę, stanął przed problemem znalezienia sposobu uwiecznienia piórem jednego i drugiego. Postanowił opisać wszystko razem - w jednej księdze. Pomysł połączenia w nowym tomie wątków przesuniętych względem siebie o dwie dekady, których nie łączą z sobą ani postaci bohaterów, ani miejsce akcji, ani żadna intryga, stanowił dla pisarza nie lada wyzwanie. Zabieg ten miał mu wszakże przynieść coś więcej niż tylko możliwość urozmaicenia treści poematu, zawężonej w części pierwszej do tematyki wojennej (nad czym sam nieraz ubolewa, choć pewnie z niemałą dozą kokieterii w stosunku do czytelnika); miał mu stworzyć okazję do popisania się swym warsztatem pisarskim przy splataniu w jedną spójną całość tak bardzo nieprzystających do siebie treści. Spiowem literackim dla nowej kompozycji utworu miała się stać ingerencja czynnika nadzwyczajnego (magii), nierzeczywistego (marzeń sennych), nadprzyrodzonego (bóstw, bytów mitologicznych, zjaw niebiańskich, a nawet - co zaskakujące w tym otoczeniu - samego Boga), wpływająca na losy śmiertelników, bohaterów eposu, i przekształcająca wierszowaną relację, jaką była część pierwsza Araukany, w dzieło literackie zawierające w sobie wszystkie elementy epepei klasycznej.

Nie chcę, bo nie taka jest rola tłumacza, wypowiadać się na temat sztuki pisarskiej autora, bogactwa leksykalnego i frazeologicznego, różnorodności figur stylistycznych i środków wyrazu, jakości wiersza i rymów ani na temat kompozycji dzieła – niech wystarczy moje zapewnienie, że z reguły oprócz przeniesienia treści oryginału na grunt języka polskiego dążę do powtórzenia w tłumaczeniu wszystkich form i struktur obecnych w danej oktawie – oczywiście, na ile jest to możliwe (na przykład rymy homonimiczne, których zastosowanie w tłumaczeniu w miejscu ich wystąpienia jest praktycznie niemożliwe, stosuję przy najbliższej nadarzającej się okazji, by pokazać, że są używane przez autora). Osobom zainteresowanym porównaniem przekładu z oryginałem proponuję wizytę na jednej z licznych witryn internetowych prezentujących tekst Ercilli. Sam opierałem się na cyfrowej wersji całościowego (obejmującego wszystkie 37 pieśni) wydania chilijskiego z roku 1910, dostępnej pod adresem: [Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes](#), oraz na niedawnym wydaniu książkowym w opracowaniu Isaiasa Lenera. Oba źródła bazują na wydaniu licencjata Castro z roku 1597.

Pamiętam, że prawie pół wieku temu, kiedy zaczynała się moja fascynacja historią podboju Ameryki, natrafiłem w jednej z lektur na wzmiankę o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk Hiszpanów o opanowanie terytoriów chilijskich, noszącej tytuł *La Araucana*, napisanej przez Alonsa de Ercilla. Nie przypominam sobie dziś tytułu tamtej książki ani jej autora, istotna jest jednak opinia o Araukanie, jaką tam przeczytałem, ponieważ podobną lub wręcz taką samą spotykałem później kilkakrotnie również u innych autorów. Otóż pierwsza część Araukany była tam oceniana jako interesująca, druga – jako mało wiarygodna, gdyż autor niepotrzebnie miesza fakty historyczne z wątkami nierzeczywistymi i mitologicznymi, zaś trzecia została uznana za zbiór nieistotnych informacji na różne tematy. Nie ukrywam, że dla mnie, poszukującego wówczas tekstów na temat wypraw odkrywco-zdobywczych z pierwszej ręki (relacji ich uczestników), taki sposób przedstawienia Araukany nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Nie pomyślałem, że mam do czynienia ze spojrzeniem historyka (nie miłośnika literatury pięknej) i że ktoś piszący o jej wartościach literackich miałby o niej zdanie diametralnie inne. Problem polegał jednak na tym, że nie było innych opinii. Nikt się na temat Araukany nie wypowiadał, bo mało kto wiedział w ogóle o jej istnieniu. Krążyła więc tu i ówdzie powtarzana bezrefleksyjnie jedna ocena (jak przytoczona wyżej), utrwalająca jej fałszywy obraz. Uzupełniały ją czasami tendencyjne i całkowicie zmyślane plotki o jej

autorze.

By nie być gołosłownym, wspomnę tylko, że jedno z owych pomówień mających deprecjonować osobę autora głosi, iż Ercilla – skazany przez Garcíę Hurtado de Mendoza, gubernatora Chile, na karę śmierci za udział w pojedynku (zamienioną później na wygnanie) – motywowany ponoć chęcią osobistego odwetu na gubernatorze, celowo nie wymienia go w poemacie ani razu. Tymczasem w części pierwszej znajdujemy o don Garcii dwie oktawy pełne pochwał (XIII, 13-14), w części drugiej jest on wymieniony z imienia siedem razy, zawsze w pochlebnym tonie – ponadto wygłasza zajmującą sześć oktaw mowę do żołnierzy, by zachęcić ich do walki – a w części trzeciej jest bohaterem siedmiu oktaw, z których cztery to kolejna przemowa. Jest więc rzeczą zdumiewającą, że choć rozpowszechnianie wyssanej z palca sensacji o rzekomym uprzedzeniu Ercilli do gubernatora demaskuje tego, kto o tym pisze, że książki nie czytał, jeszcze i dzisiaj niejeden z piszących o Araukanie podaje ją jako pewnik. Smaczku sprawie przydaje fakt, że madryckie wydanie Araukany z roku 1578 zawierało wśród sonetów komponowanych zwyczajowo przez osoby chcące pochwalić dzieło i jego autora sonet autorstwa Garcii Hurtado de Mendoza . A zatem jego stosunki z Ercillą były wówczas więcej niż poprawne. Jak widać, Araukana ciągle czeka na rzetelny osąd.

Mimo iż Ercilla zapewnia, że przedstawiane przez niego wydarzenia są zgodne z faktami, nie próbowałbym szukać w Araukanie źródeł prawdy historycznej. O wartości tego utworu stanowią jego walory literackie. Już sam Cervantes wystawił im najwyższą ocenę, zaliczając Araukanę do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania” i do „najlepszych książek ze wszystkich, które zostały spisane po kastylijsku bohaterskimi wersami i mogą rywalizować z najsłynniejszymi z Włoch” . Mam nadzieję, że moja praca zyska aprobatę polskiego czytelnika, a ten „najlepszy i najsłynniejszy poemat epicki w języku hiszpańskim” – niedoceniany u nas, bo nieznan – doczeka się sprawiedliwej oceny, zaś jego autor zajmie należne mu miejsce wśród największych twórców literackich Renesansu.

Czesław Ratka

### **Opis książki który znalazł się na okładce II tomu.**

Druga część Araukany przedstawia dalszy przebieg powstania chilijskiego plemienia

Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji Hiszpanów. Autor relacji, a zarazem uczestnik opisywanych wydarzeń, hiszpański szlachcic Alonso de Ercilla y Zúñiga, kontynuuje swoją poetycką opowieść o zmaganiach z ludem, który jako jedyny w obu Amerykach zdołał obronić swoje ziemie przed zachłannością konkwistadorów. Od ostatnich walk minęło już jednak dwadzieścia lat, a poeta od dawna mieszkał w Madrycie, gdzie – jak wszyscy – żył atmosferą sukcesów militarnych króla Filipa II, decydujących o mocarstwowej pozycji Hiszpanii w świecie; takich na przykład, jak rozgromienie floty osmańskiej w bitwie pod Lepanto. Mając świadomość wagi bieżących spraw, a jednocześnie chcąc, jak obiecał, opowiedzieć o wojnie chilijskiej do końca, postanowił połączyć oba tematy. Ujęcie w jednej księdze tak nieprzystających do siebie historii (przesuniętych w czasie o dwie dekady i rozgrywających się na różnych kontynentach) stało się możliwe dzięki wzbogaceniu narracji, za przykładem autorów starożytnych, o wpływ czynników pochodzących ze świata nierzeczywistego (magia, marzenia senne, ingerencja bóstw), stanowiących spoiwo literackie dla wszystkich zawartych w nowym tomie treści. W ten sposób wierszowana relacja historyczna, jaką była część pierwsza, nabiera w części drugiej charakteru bardziej literackiego, stając się bliższa epopei klasycznej.

Znajomość najlepszych wzorów antycznych i włoskich nowości renesansowych oraz umiejętne budowanie w oparciu o nie własnego warsztatu pisarskiego, bogactwo treści, języka i form wyrazu stawiają Ercillę w gronie najwybitniejszych poetów epickich w Hiszpanii; jego Araukana – zdaniem Cervantesa – może rywalizować z czołowymi dziełami literackimi włoskiego Odrodzenia.

Prezentowany tu polski przekład części drugiej, obejmującej pieśni XVI-XXIX, jest pierwszym od czasu publikacji hiszpańskiego oryginału w roku 1578.

---

## **Lucian DAN Teodorovici: Warto**

**podjąć trud pisania.**



Lucian Dan Teodorovici, fot. Cato Lein.

**Barbara Lekarczyk-Cisek:** *Muszę Panu wyznać na wstępie, że Pańska książka "Matei Brunul" zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Przede wszystkim forma tej opowieści jest niezwykle interesująca. Porozmawiajmy więc o niej.*

**Lucian DAN Teodorovici:** Dziękuję, że zaproponowała mi Pani rozmowę o literaturze, bo najczęściej zdarza się tak, że dla moich rozmówców książka jest tylko pretekstem do tego, aby rozmawiać o historii i polityce.

**BLC:** *Na początek proszę mi wyjaśnić, dlaczego podjął Pan temat, który dotyka komunistycznej przeszłości Rumunii – czasów, kiedy Pana jeszcze nie było na świecie...*

**LDT:** Trudno mi podać jedną przyczynę, ale z pewnością najbardziej zaważyło przeżycie z dzieciństwa. Otóż wychowywałem się u dziadków. Mój dziadek był wiernym i wytrwałym słuchaczem Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Kiedy miałem może osiem lat, widziałem go płaczącego podczas słuchania audycji, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie, szczególnie że dziadek nie był człowiekiem łatwo ulegającym emocjom. To był dla mnie pierwszy impuls: chciałem zrozumieć, dlaczego dziadek płacze. Tak więc ten temat rósł we mnie latami. Później sam wielokrotnie, czytając o sprawach związanych z tamtymi czasami, przeżywałem to bardzo emocjonalnie.

**BLC: do tłumaczki, Radosławy Janowskiej-Lascăr:**

*Pani Radosławo, a co Panią skłoniło, aby tę książkę przybliżyć polskiemu czytelnikowi?*

**RJL:** Kiedy pracowałam przed laty w Rumunii jako lektor języka polskiego, Lucian był studentem filologii rumuńskiej. Wprawdzie nie mieliśmy bezpośrednich kontaktów, ale już wówczas słyszałam o młodych zdolnych ludziach na filologii, a potem nawet czytałam jego opowiadania. W tym czasie jednak zajęta byłam tłumaczeniami z literatury polskiej na język rumuński. Dopiero w listopadzie 2012 roku, trochę przypadkiem, trafiłam na jego powieść „Matei Brunul”. Byłam wtedy w Bukareszcie na wernisażu wystawy poświęconej Kazimierze Iłłakowiczównie, którą pomagałam przygotowywać. Przy okazji postanowiłam pójść na cmentarz, aby odwiedzić grób mojej zmarłej przyjaciółki, Polki. Czekając na kolegę, z którym miałam pójść na cmentarz, weszłam do pobliskiej księgarni, aby pooglądać nowości wydawnicze. Tak trafiłam na dwie książki: „Matei Brunul” oraz „Medgidia miasto u kresu” Cristiana Teodorescu. Po przeczytaniu fragmentów pomyślałam jak Danusia z „Krzyżaków”: „Mój ci on” i postanowiłam obie przełożyć. Szczególnie że historia, a



zwłaszcza lata 50. należą do kręgu moich zainteresowań. Ciekawiło mnie, w jaki sposób obaj pisarze opowiadają o tamtych czasach.

**BLC:** *No właśnie, bardzo interesujące jest zagadnienie formy powieści. Swietłana Aleksijewicz, tegoroczna noblistka, nazywa siebie kronikarką duszy, a w Pana powieści podobne słowa padają w stosunku do lalki. Pana również interesuje przede wszystkim ludzka dusza w sytuacji opresji ... Tytułowy bohater powieści "Matei Brunul" jest lalkarzem, co pozwala użyć wieloznacznej metafory teatru marionetkowego. Skąd wziął się taki pomysł na opowiedzenie tej historii?*

**LDT:** Taki zamysł, aby bohaterem był marionetkarz, miałem od początku, choć trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Inspiracje płyną z różnych źródeł i nie zawsze są racjonalne. Tak się przy tym składa, że studiując reżyserię teatralną, miałem dużo zajęć z teatru lakowego. Dzięki temu zauważyłem, że podczas grania spektaklu aktor nie tylko animuje lalkę, ale też sam zmienia się pod jej wpływem. Zmienia się nie tylko jego fizjonomia, ale także sposób poruszania się. Chciałem dokonać swego rodzaju transpozycji z duszy marionetki (o której bohater pisze w swoim traktacie) na duszę człowieka. Mój bohater traci duszę, ponieważ traci pamięć i to właśnie marionetka "przywraca" mu życie.

**BLC:** *Dla mnie symbol marionetki ma w Pana powieści niejednoznaczne, a niekiedy sprzeczne znaczenia. Z jednej strony teatr marionetkowy, mając bardzo starą tradycję, służy bohaterowi do tego, aby opowiadając pewną uniwersalną historię, mógł zrozumieć otaczający go świat, a tym samym przeżyć doświadczenie kolonii karnej, co się na dłuższą metę nie udaje. Z drugiej strony teatr marionetek jako dzieło ludzkiej wyobraźni pozwala zapomnieć o opresyjnej rzeczywistości, jak to ukazał Pan w najpiękniejszej scenie tej powieści, kiedy Bruno ożywia marionetkę i świat wokół przestaje istnieć. Czy zgodzi się Pan z taką interpretacją?*

**LDT:** Pisarz zawsze marzy o tym, aby czytelnik odnalazł w jego książce te istotne myśli, które tam zawarł, toteż bardzo się cieszę, że Pani trafiła w sedno. Otóż w latach 50. ludzie nie byli już w stanie wyzwolić się z tego gorsetu, który im założono. Scena, w której Bruno animuje lalkę w obecności "dobrego strażnika" jest kluczowa w powieści, ponieważ pokazuje, że bywają takie momenty, kiedy zrzucenie owego „gorsetu” mogło się - choć na krótką chwilę - wydarzyć.

**BLC:** *W Pańskiej powieści terażniejszy czas narracji przeplata się z czasem przeszłym, dzięki czemu poznajemy coraz lepiej sylwetkę głównego bohatera, ale mimo wszystko pozostaje pewna sfera tajemnicy, do której nie mamy dostępu. Brunul okazuje się być o wiele bardziej wolnym człowiekiem, niż sądzą inni bohaterowie, a także czytelnik...*

**LDT:** Taki sposób narracji miał podkreślić, że początkowo, kiedy poznajemy bohatera, egzystuje on tak, jakby go nie było. Natomiast ten sam bohater w retrospekcjach jest człowiekiem bardzo aktywnym życiowo. Miałem taki zamysł, aby te dwie narracje w pewnym momencie się przecięły. Skutkiem tego im bardziej nasz bohater w terażniejszości staje się żywotny, tym bardziej Bruno z przeszłości staje się martwy.

Gdy zbierałem dokumentację do tej powieści, bardzo istotne były dla mnie konsultacje z doktorem Bogdanem O. Popescu – jednym z najzagorzalszych pasjonatów neurologii w Rumunii. Na kształt narracji wpłynęła więc także wiedza na temat amnezji, będącej siłą spowalniającą człowieka, jak to jest w przypadku mojego bohatera.

**BLC:** *Czy podczas pisania powieści były jakieś szczególnie trudne momenty?*

**LDT:** Było wiele takich momentów, kiedy próbowałem połączyć ze sobą wątek teatru lakowego, rzeczywistość historyczną i terażniejszość. Odkładałem wówczas pisanie, aby powrócić do niego po kilku tygodniach i podjąć opowieść.

**BLC:** *Czy udało się już Panu uwolnić od swojego bohatera i pomyśleć o nowej historii?*

**LDT:** W Rumunii wiele osób zadawało mi pytanie, czy mam zamiar kontynuować opowieść o Brunulu. Na Facebooku jeden z czytelników napisał do mnie, że powieść wprawdzie bardzo mu się podobała, ale nie wybaczy mi tego, że uśmierciłem swojego bohatera, co nie jest prawdą (śmiech). Nie mam wprawdzie potrzeby kontynuować tej historii, ale to zainteresowanie czytelników dało mi do myślenia. Zresztą fakt, że mogę ciągle toczyć rozmowy o tej książce, dowodzi, że mój bohater nadal żyje – w myślach i wyobraźni czytelników, mimo że ja się już od niego uwolniłem.

Prowadząc dokumentację do tej książki odkryłem też wiele materiałów na inne opowieści i jestem przekonany, że temat historii lat 50. w Rumunii będę kontynuował.

**BLC:** *Został Pan laureatem Nagrody Czytelników im. Natalii Gorbaniewskiej. Co dla Pana znaczy ta nagroda?*

**LDT:** Moje książki były tłumaczone na inne języki, miałem też pragnienie, aby ukazał się także polski przekład. A kiedy okazało się, że przekład będzie, tak się tym ucieszyłem, że zacząłem sobie wyobrażać, że coś się musi wydarzyć. I tak się stało! Nagroda Czytelników daje poczucie, że warto podjąć trud pisania oraz nadzieję, że znajdą się również amatorzy kolejnych moich książek.

<http://kulturaonline.pl/>

---

## **Matei Brunul: Z życia marionetek.**

LUCIAN DAN  
TEODOROVICI

# MATEI BRUNUL



## **Barbara Lekarczyk-Cisek**

**Nominowana do Angelusa powieść Luciana dan Teodorovici opowiada historię komunistycznych zbrodni, posługując się wieloznaczną metaforą teatru marionetek. Tak jeszcze chyba nikt tego nie opowiedział...**

Bohaterem opowiedzianej przez rumuńskiego pisarza historii jest lalkarz - Bruno Matei, urodzony w rumuńsko-włoskiej rodzinie, który dostaje się w tryby komunistycznego terroru. Powieść jest ukazaniem losów pojedynczego człowieka, ale zarazem - jak pisze w przedmowie autor - „jest sumą losów wielu ludzi, którzy musieli się zmierzyć z rumuńskim systemem więziennym”. Aby jednak podkreślić, że łączy historię z fikcją, autor odnosi się do prawdziwych okoliczności, wplatając do swojej prozy także postaci historyczne. Wydarzenia historyczne są rodzajem tła dla wydarzeń fikcyjnych. Pisarza bowiem interesuje przede wszystkim pojedynczy człowiek i to, co się z nim dzieje pod wpływem straszliwej opresji, której zostaje poddany.

### **Bruno - Pinokio à rebours**

Historia Brunula (rumuński odpowiednik włoskiego imienia Bruno) odsłania się przed nami stopniowo - w retrospekcjach. W czasie teraźniejszym jest on 38-letnim lalkarzem, trochę zdziwaczalym samotnikiem, który nie rozstaje się z marionetką nazywaną Bazylkiem. Cierpi na osobliwy zanik pamięci, który polega na „wymazaniu” z życia ostatnich dwudziestu lat. Właśnie owe lata odsłaniają się przed nami nieśpiesznie w kolejnych retrospekcjach i pozwalają zrozumieć myśli i zachowania Bruna.

Bohater snuje rozważania o duszy marionetki, z którą się nie rozstaje, a myśli te są bardzo osobliwe. Uważa mianowicie, że każda marionetka ma duszę, będącą jej punktem ciężkości, którego poznanie gwarantuje całkowite panowanie nad nią:

*Życie marionetki jest w rękach marionetkarza - sądzi Bruno. Nigdy nie będziesz mógł poruszać lalką i sprawić, aby żyła tak jak chcesz, jeżeli nie nauczysz się kontrolować dogłębnie jej duszy.*

Doskonale rozumiemy, że słowa te odnoszą się do człowieka, który został poddany

systemowi opresji. To system pragnie nad nim całkowicie zapanować i czyni to latami, za pomocą różnych wyrafinowanych metod. W powieści Teodorovici człowiek ma stać się jak marionetka - niemy i bezwolny wobec oskarżeń, nawet najbardziej absurdalnych.

W 1950 roku Bruno zostaje oskarżony w procesie „odpryskowym”. Ma wraz z innymi „wywrotowcami” zeznawać przeciwko swemu dobroczyńcy, byłemu ministrowi - Lucretiu Pătrășcanu (postać historyczna). Poddany torturom, podobnie jak pozostali, przyznaje się do winy i zostaje skazany na kolonię karną. Próby zachowania człowieczeństwa wobec wyczerpującej pracy przymusowej, tortur, bicia i upokorzeń stają się coraz bardziej heroiczne. Bruno w jakimś sensie zastyga bez ruchu, aby tylko przetrwać, nie prowokować oprawców i nie dać im poznać, że zachował coś własnego, ludzkiego... Ciągłe ma nadzieję, że warto czekać na prawdziwą wolność, która kiedyś przyjdzie. Tymczasem udaje, że „resocjalizacja” powiodła się, że jest bezwonną marionetką, która robi wszystko, co jej się każe. Czy mu się to ostatecznie udało - tego nie zdradzę, aby nie odebrać czytelnikom przyjemności odkrywania tajemnic Bruna. Powieść trzyma bowiem w napięciu do końca i do końca pozostaje nieoczywista - jak ludzkie życie.

### **Metafora teatru marionetek**

Najpiękniejsze w prozie Luciana dan Teodorovici są metafory nawiązujące do teatru marionetek, w tym traktat bohatera, napisany przez niego po wielu studiach i latach terminowania w zawodzie. Wywodząc istnienie teatru lalek z odległej starożytności, kiedy to przedstawienia lalkowe niosły ze sobą ważne treści na temat ludzkiej egzystencji, daje do zrozumienia, że ani na jotę się nie zestarzały. To, co mówi o marionetce - te wszystkie myśli dotyczą jego samego i pozostają ważnym elementem narracji. Dzięki nim możemy zrozumieć, co się dzieje z człowiekiem i ze światem wokół niego, jeśli próbuje się go zniewolić i potraktować jak bezduszną kukłę. Podobnie, jak w „Traktacie o manekinach” Bruno Schulza: człowiek staje się „przedmiotem niższej rangi”. Dążeniem komunizmu było stworzenie „nowego człowieka” - całkowicie poddanego władzy i pozbawionego ludzkich, normalnych uczuć. Słowem - marionetki. Bo marionetkami zarządza się łatwo.

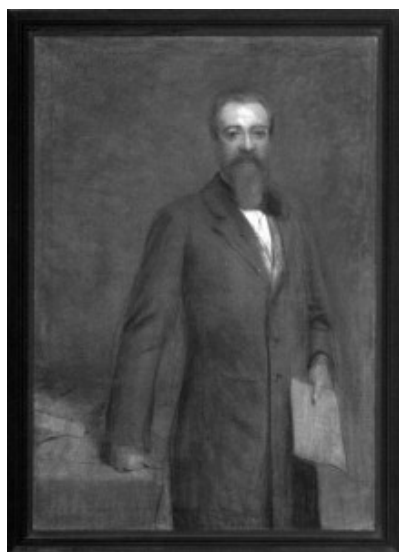
*Książka Luciana dan Teodorovici „Matei Brunul” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea.*

<http://kulturaonline.pl/>

---

# Kościelscy i ich dzieło

**Joanna Sokołowska-Gwizdka**



Pastel Leona Wyczółkowskiego, „Potret Józefa Koscielskiego”, 1899. Z dawnych zbiorów Koscielskich w Miłosławiu. Źródło: Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Zgodnie z testamentem Moniki Kościelskiej, w zmarłej w 1959 roku w Genewie, w tym samym szwajcarskim mieście, w 1961 r. została założona Fundacja im. Kościelskich, Celem jej miało być wspieranie literatury polskiej poprzez przyznawanie nagród młodym twórcom zarówno tym mieszkającym w Polsce, jak i za granicą. Przeznaczając fundusze należące do rodziny na taki cel, Monika Kościelska chciała upamiętnić swoich tragicznie zmarłych najbliższych - męża Władysława Augusta i syna Wojciecha.

Władysław był bibliofilem, miłośnikiem literatury i sztuki, wydawał pismo literackie „Museion”, Był także tłumaczem i autorem dwóch tomików wierszy. Gdy Polska po wielu latach zaborów odzyskała niepodległość, podjął się wydania skarbów literatury i przyczynił się do ich należytego opracowania. W 1920 roku z inicjatywy Władysława Kościelskiego i przy jego nakładach finansowych powstał Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska - spółka akcyjna z siedzibą w Warszawie i filią w Bydgoszczy, gdzie została zakupiona drukarnia. Prezesem Rady Nadzorczej został poeta Jan Kasprówic. Instytut wydawał arcydzieła literatury polskiej (m.in. Żeromskiego, Wyspiańskiego, poetów młodopolskich). Do 1933 roku w serii Wielka Biblioteka przeznaczonej dla szkół, ukazały się 144 tomy tekstów lektur z komentarzami wybitnych krytyków literackich. Przy ulicy Nowy Świat w Warszawie otwarta też została nowoczesna i przyjazna czytelnikom księgarnia. W okresie wielkiego kryzysu, który osiągnął i firmę wydawniczą Kościelskiego, Instytut podupadł. Mogło być to przyczyną samobójczej śmierci Władysława w 1933 roku.



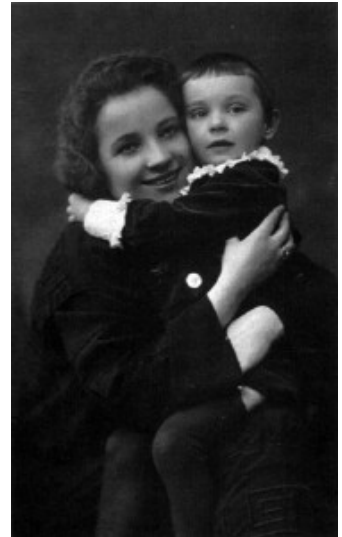
Monika Koscielska.



Źródło: Izba Pamięci  
w Miłosławiu (ze  
zbiorów M.  
Walczaka).

Po śmierci męża Monika Kościelska kontynuowała jego prace. Pod jej zarządem wychodziły nowe serie wydawnicze - Biblioteka Podróżników Polskich, Biblioteka Podręczna Nauczycieli i Rodziców „Nowa Szkoła”, Pojawiły się książki o Warszawie, zeszytowe wydanie na temat malarstwa europejskiego, wychodziły encyklopedie, wydawnictwa prawne i polityczne. Instytut Wydawniczy w 1939 roku zatrudniał 600 osób. Jego działalność przerwała wojna.

Wojciech, jedyny syn Moniki i Władysława Kościelskich, niezwykle przeżył śmierć ojca. Odbiło się to na jego późniejszym życiu. Podczas II wojny światowej, mimo danej matce obietnicy, że zgłosi się na studia we Fryburgu w Szwajcarii, postanowił walczyć o Polskę. Zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Francuzów. Przebywał w stalagu, z którego ze względu na stan zdrowia został zwolniony. Potem przez Polskie Dowództwo Naczelne został mianowany adiutantem generała Juliusza Kleberga. Kiedy Polskie Siły Zbrojne przeszły pod dowództwo brytyjskie, Kościelski sprawował funkcje oficera wywiadu. Po wojnie Wojciech Kościelski próbował przystosować się do nowej rzeczywistości. Pomagała mu w tym żona, Janina Ruszkowska. Jednak przeżycia młodości, okres wojny, utrata majątku rodzowego, sytuacja w Polsce, do której nie można było powrócić - to wszystko źle wpływało na jego psychikę i doprowadziło do samobójczej śmierci w 1947 roku.



Monika Koscielska z synem Wojciechem. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Książka Wojciecha Klasa i Jana Zielińskiego „Kościelscy. Ród, fundacja, nagroda”, została wydana w 2011 roku, z okazji 50-cio lecia istnienia Fundacji. Składa się z dwóch części - w pierwszej opisane zostały losy rodziny, druga część jest kroniką wydarzeń związanych z Nagrodą i jej laureatami. Do tego dochodzą: Aneks, Spis Członków Rady Fundacji i Jury Nagrody Kościelskich z datami pełnionych funkcji oraz Chronologiczny Spis Laureatów.

Autorem części dotyczącej historii rodu jest Wojciech Klas, absolwent historii o specjalności archiwalnej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Nie tylko napisał on pracę magisterską pod kierunkiem prof. dr hab. Bohdana Ryszewskiego „Kościelscy herbu Ogończyk”, ale i zgromadził największy w Polsce zbiór materiałów archiwalno-bibliotecznych dotyczący tej rodziny. Część zbiorów przekazała mu w 2006 roku wdowa po Wojciechu Kościelskim - Jadwiga z Ruszkowskich Kościelska. Przez wiele lat przeprowadzał kwerendy w archiwach i bibliotekach, uporządkował też archiwum Fundacji w Szwajcarii. Nic więc dziwnego, że jako specjalista podjął się rzetelnej charakterystyki rodu od czasów średniowiecznych począwszy.



Władysław August Koscielski. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Jednym z bardziej barwnych przedstawicieli rodziny był Władysław Kościelski zwanym Seferem paszą, generał w wojsku tureckim, bohater wojen krymskich. Dorobił się fortuny, gdy swoje oszczędności ulokował w akcjach Kanału Sueskiego. Potem stał się słynnym hodowcą koni arabskich i mecenasem sztuki. Kupił średniowieczny zamek Bertholdstein w Styrii, gdzie osiadł na stałe w 1882 roku i przeniósł tam swoją cenną kolekcję obrazów i rzeźb oraz broni orientalnej i ceramiki, W testamencie zapisał zbiory Muzeum na Wawelu, a kilka polskich instytucji naukowych otrzymało od niego pokaźne dotacje. To on zapoczątkował ideę mecenatu kultury.

Część dotycząca dziejów rodziny jest bogato udokumentowana i poparta licznymi cytatami z literatury pamiętnikarskiej epoki, z rękopisów ze zbiorów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie i innych materiałów źródłowych. Cytaty naocznych świadków wydarzeń, opisujących postaci, przeplatane komentarzem autora stanowią ciekawą opowieść i przybliżają czytelnikowi zarówno poszczególnych przedstawicieli rodziny, jak i ogólne idee przyświecające kolejnym spadkobiercom nazwiska - działalność na rzecz społeczeństwa, kultywowanie mecenatu, zainteresowanie literaturą, pielęgnowanie polskich wartości.



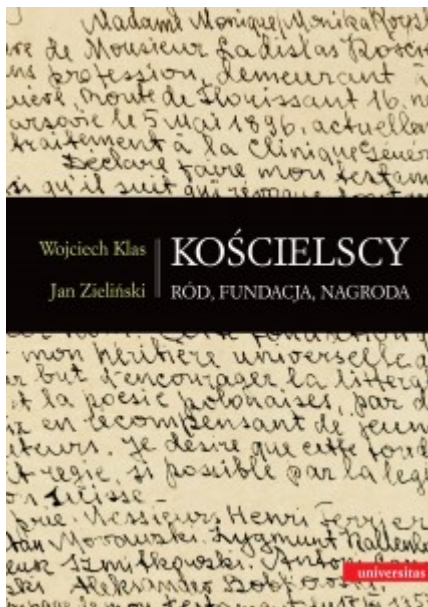
Fotografia rodzinna: Józef Teodor Koscielski z żoną Marią z Blochów, matką Józefą z Wodzińskich, ciotką Marią Wodzińską oraz z dziećmi: Katarzyną, Emilią i Władysławem, ok. 1895-1900. Źródło: Archiwum Fundacji.

Autorem części, w której zostali przedstawieni laureaci oraz członkowie jury i inni ludzie związani z Fundacją na przestrzeni 50-ciu lat przyznawania Nagrody, jest Jan Zieliński. Ten krytyk, tłumacz, edytor, znawca literatury polskiej na emigracji, wykładowca na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, dyplomata, od 2004 roku sam jest członkiem jury Fundacji Kościelskich. Część ta ma charakter chronologiczny, rok po roku zostały pokazane i zdokumentowane wydarzenia związane z zarządzeniem Fundacji, opisem obrad i decyzjami w sprawie poszczególnych laureatów.

*...Pierwszym prezesem Fundacji został ambasador Kajetan Dzierżykraj-Morawki – pisze Jan Zieliński. – Urodzony w roku 1892 w Jurkowie koło Kościana, a więc Wielkopolanin, o 6 lat młodszy od Władysława Augusta Kościelskiego, Morawski był dyplomatą i politykiem, a także ciekawym prozaikiem („Tamten brzeg”). Przed wojną*

*delegat Polski do Ligi Narodów (...). W roku 1941 był ambasadorem RP przy emigracyjnym rządzie. (...) Po cofnięciu uznania Rządowi RP na uchodźctwie pozostał w Paryżu jako nieoficjalny „ambasador wolnych Polaków”.*

W pierwszych latach działalności Fundacji, w skład Rady wchodził także Zygmunt Estreicher, Antoni Lanckoroński, Zygmunt Kallenbach, dwaj pisarze z Polski - Jan Parandowski, prezes polskiego PEN-Clubu i Ludwik Hieronim Morstin, który redagował wraz z Władysławem Augustem Kościelskim pismo „Museion”. Potem doszli Krzysztof Górski, Konstanty Jeleński, Jacek Woźniakowski, Maria Danilewicz-Zielińska i inni. Wszyscy byli dobrze wykształceni, zaznajomieni z literaturą, o szerokich horyzontach i z głębokim poczuciem patriotyzmu i służby ojczyźnie, niezależnie od warunków politycznych.



Po lekturze Kroniki Nagrody nasuwają się refleksje. Jest to bowiem mini-podręcznik polskiej literatury współczesnej i jej problematyki na przestrzeni pięćdziesięciu lat. Jak niezwykle wyczucie musieli mieć członkowie jury, aby typować młodych laureatów, którzy w większości przypadków stawali się potem znaczącymi twórcami, zajmując trwale miejsce w historii literatury lub wybitnymi krytykami tej literatury. Wśród laureatów Nagrody znaleźli się tacy twórcy jak: Sławomir Mrozek, Zygmunt Herbert, Tadeusz Konwicki, Włodzimierz Odojewski, Jarosław Abramow-Neveryly, Tadeusz Nowak, Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Skwarnicki,

Urszula Koziół, Kazimierz Orłoś, Waław Iwaniuk, Jerzy Harasymowicz, Stanisław Barańczak, Edward Stachura, ks. Janusz Ihnatowicz, Ewa Lipska, Adam Zagajewski, Janusz Anderman, Anna Frajlich-Zajac, Tomasz Jastrun, Paweł Huelle, Jerzy Pilch, Wisława Szymborska, Andrzej Stasiuk, Magdalena Tulli, Marcin Świetlicki, Olga Tokarczuk, Jacek Podsiadło, Wojciech Wencel, Tomasz Różycki, Jacek Dehnel i wielu innych. Przecież to pół wieku literatury polskiej. Laureatami zostali pisarze i poeci zarówno mieszkający w kraju, jak i od wielu lat tworzący na emigracji, a przegląd ich dokonań pokazuje nie tylko problemy poruszane w literaturze, ale też wpływ czasów na przekaz artystyczny.

Jan Zieliński, zgodnie z formułą kroniki, skrupulatnie relacjonuje kolejne wydarzenia w kolejnych latach, bogato dokumentując komentarz autorski listami, źródłami, fragmentami publikacji. Pokazuje czym była nagroda, dla twórców w Polsce Ludowej, czym jest dla tworzących obecnie, jakie problemy wynikały podczas głosowania, jakie osoby były typowane i dlaczego, przytacza komentarze. Dzięki tej benedyktyńskiej skrupulatności w odtwarzaniu każdego roku działalności Fundacji, czytelnik ulega atmosferze obrad i duchowi Kościelskich.



Janina z  
Ruszkowskich  
Koscielska podczas  
wręczenia Nagrody  
Koscielskich w  
Miłosławiu, 2005  
rok.

Źródło: Archiwum  
Wociecha Klasa  
(fotografia  
nadesłana przez E.  
Gajewicz z  
Miłosławia).

Widać też wielkie zmiany na przestrzeni lat działalności Fundacji. Przez pierwsze dwadzieścia siedem lat nagroda odbierana była w Genewie. Po 1989 roku

uroczystości przeniesiono do Polski. Wręczenie nagród odbywało się w Warszawie, Krakowie oraz Miłosławiu, rodzinnym majątku Kościelskich koło. Poznania. Suma nagrody, nie jest już tak znacząca jak w czasach PRL-u, ale pozostaje wielki prestiż.

Od 2008 roku prezesem Fundacji jest François Rosset. – *Trudno było trafić lepiej* – napisał w swoim pamiętniku Zygmunt Marzys (cyt. za Janem Zielińskim). – *Franek dla polskich przyjaciół, wnuk Zofii Kossak, dziś profesor literatury francuskiej na uniwersytecie w Lozannie, jest doskonałym przykładem podwójnej, szwajcarsko-polskiej przynależności. Urodzony i wychowany w Szwajcarii tu skończył studia, po czym był przez kilka lat lektorem języka francuskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie się doktoryzował u (Jana, aut.) Błońskiego pracą o Janie Potockim (...). W Krakowie też znalazł żonę, w rodzinie, mieszkającej dziś pod Lozanną mówi się po polsku. Sam Franek włada świetnie polskim tak w mowie jak i na piśmie i zna literaturę polską równie dobrze jak francuską.*

Formuła książki jubileuszowej, kronikarskiej i warsztat naukowy autorów spowodował, że pozycja ta nie jest łatwa w odbiorze. Trzeba wejść w środowisko, poznać osoby, przestudiować relacje między ludźmi. Jednak lektura pozostaje na długo w pamięci, czytelnik pozostaje bogatszy o wiedzę i refleksje. Szczególnie dla osób, które kończyły studia w okresie PRL-u, gdy dostęp do wiedzy na temat twórców emigracyjnych był ograniczony, jest to znaczące źródło informacji, dające możliwość uzupełnienia wiedzy na temat współczesnej literatury polskiej.

Książka została opatrzona materiałem ilustracyjnym, przedstawiającym członków rodziny Kościelskich, potem członków Rady Fundacji, pokazującym dokumenty. Ciekawe są też Aneksy, w ramach których dołączone zostały fragmenty prozy Jerzego Pluty („S jak socjalistyczny szpieg, spiskujący samoswojo”), Jerzego Pilcha („Obłoki nad Czantorią”) oraz Antoniego Libery („Liryki lozańskie. Wariacje na temat Jerzego Pilcha) – fantastyczna parodia rozdziału „Złe dziecię” z książki Jerzego Pilcha „Spis cudzołożnic. Proza podróżna” Londyn 1993, pokazująca w sposób humorystyczny sytuację Polaka-literata w Szwajcarii w czasach PRL-u.

Wojciech Klas, Jan Zieliński: KOŚCIELSCY. RÓD, FUNDACJA, NAGRODA, wyd. Universitas, Kraków 2011.



Wojciech Kossak u Koscielskich w Miłosławiu.

Źródło: Archiwum Marka Gizmajera z Warszawy.

---

## **Między wiernością a zdradą**





Ewa Stachniak

## **Magda Dunikowska**

### **Jeszcze o „Koniecznych kłamstwach” Ewy Stachniak**

Człowiek składa się marzeń własnych i z historii. Historia zobowiązuje niczym szlachectwo, żąda wierności, stoi na straży. A marzenia dopuszcza w niewielkich ilościach, ot, personel pomocniczy. Nie ma epoki, w której nie znalazłby się jednak śmiałek zdecydowany wystąpić z szeregów wierności, oddalić się na przyzwoitą odległość i podążyć własną drogą. Zwłaszcza w czasach konfrontacji, kiedy nie odnajduje się w tumultie toczącej się walki, kiedy to czas staje się nagle czarno-biały, kiedy trzeba wybierać między „my” czy „oni” - „*tertium non datur*”. Ale czy na prawdę?

Zdrada emigrantów to temat nie nowy. Nowe jest tylko pokolenie, które się właśnie

jej dopuszcza i nowa jest jej lektura autorów początku XXI-go wieku. „Optyka Kanadyjczyka” – tak Marta Mizuro odczytała „Konieczne kłamstwa” Ewy Stachniak, tytuł należący do literatury kanadyjskiej, czyli tej „*par excellence*” emigracyjnej. Na jej kartach czytelnik wprowadzony zostaje w nowy krajobraz, nowe widnokreśli poprzecinane stycznymi dobiegłymi nie tylko z narodowych horyzontów. Z jakimi demonami walczą bohaterowie wyzwoleni od ciężaru tradycji? W jakiej mierze podobne wyzwolenie okaże się możliwe? Jaką konfigurację przybiera w literaturze kanadyjskiej kalejdoskop wartości uniwersalnych? Czy globalizacja literatury zdoła dokonać się w sensie pozytywnym? W książce Ewy Stachniak ogniskują się te wszystkie pytania i znajdują odpowiedzi oryginalne, a podane z perspektywy godnej podziwu: napisane w języku angielskim wprowadzają na scenę trzy pokolenia, trzy kobiety, trzy kraje. I o ile Polaka opuszczającego ojczyznę będzie prześladował problem zdrady kraju, to czy Niemka i jej paroletni synek, uciekając pieszo w mrozie, w styczniu 1945 roku z apokaliptycznego Breslau ową zdradę nie przypisze właśnie swemu krajowi?

Główna bohaterka, Anna znalazła się i odnalazła w Kanadzie, państwie pozornie nieobciążonym historią, w którym marzenia o „normalnym” życiu wydawały się jak najbardziej na miejscu... Jednak tak poszukiwana normalność objawi się w postaci nieprzewidywalnej dla Anny. Zdobyta wolność okaże się bowiem wolnością do konfrontacji z historią własnego miasta. Opowieść w stylu prawie dziennikarskim o Wrocławiu-Breslau, z największym eksodusem współczesnej epoki w tle, nadal właściwie nie znanym, z pewnością będzie odkryciem dla wielu europejskich i kanadyjskich czytelników. Przecież to, co wydarzyło się w tym mieście w latach 1945-47 można śmiało porównać z tragedią antycznej Troi. Najbardziej wówczas zasobne miasto Europy – zgromadzonymi zapasami dla Festung Breslau odżywiali się Wrocławianie jeszcze w 1946 roku – nie tylko legło w gruzach, ten los był przecież udziałem tylu innych podczas tamtej wojny, ale blisko 700 tysięcy jego mieszkańców zostało zeń wysane wichrem historii, aby już nigdy nie powrócić. Musieli oddać swe piękne miasto przybyszom ze wschodu, tym Polakom, których mimo systematycznych, przemysłowych starań nie udało się jednak wybić.

Anna rodzi się w parę lat po zakończeniu wojny, z rodziców Warszawiaków, we Wrocławiu ciągle pełnym gruzów. Wspomnienia z dzieciństwa to obrazy placów zabaw nie zupełnie uprzątniętych, z których przynosili niemieckie monety, strzępki mundurów SS, zardzewiałe hełmy. Jej rodzinny dom wrocławski nie kojarzy się z polskimi domami znanymi z literatury: wyposażenie pozostało niemieckie, obrazy, nawet kuchenne porcelanowe pojemniczki z napisem *pfeffer* i *saltz*. Ta obca atmosfera odczuwana jest przede wszystkim przez dziadków i rodziców powtarzających, że mieszkają tu tymczasowo, niewątpliwie przeniknęła też i do psychiki Anny. Nawet po dwudziestu latach korzenie nie wyglądają na zapuszczone. Niemniej polski Wrocław wyrósł na swoiste miasto wolności, właśnie mniejsze obciążenie tradycją narodową ułatwiało zagospodarowanie teraźniejszości. Poharatana wojną pamięć nie ufała już jak dawniej tradycji i miasto udawało, że potrafi stworzyć się samo.

Poryw lodowatego wiatru historii dał się odczuć nagle w marcu 1968 roku. Męski bohater „Koniecznych kłamstw”, Piotr, pierwsza miłość Anny, pojawia się w scenerii Wzgórza Partyzantów, na spiskowym spotkaniu. Parę miesięcy wcześniej owa piękna przed wojną architektura Wzgórza Liebicha, nigdy później nie poddawana pracom konserwatorskim zawałała się grzebiąc pod swymi gruzami nowe ofiary. A wydarzyło się to w kulminacyjnym momencie radosnej zakinady, pierwszej po wojnie tak spontanicznej imprezy, kiedy wydawało się, że Wrocław złapał swój własny swobodny oddech... Ale Piotr z „Kłamstw” nie jest bynajmniej tym wzorcowym studentem, którego miesięcznik „Polska” starał się kreować na użytek zagranicznego czytelnika – to Piotr z „Dziadów” Mickiewicza – zwiastun nadchodzącej rewolty. Postać Anny jeszcze wtedy nie odbiega od klasycznej heroiny polskiej: 16-letniego dziewczęcia zauroczonego tajemniczym studentem zapowiadającym czyn zrzucenia jarzma, sowieckiego tym razem. Ówczesne wrocławskie strajki na uczelniach nie prowadzą do tak gwałtownych starć jak w Warszawie czy Krakowie. Pamiętna okupacja Auli Leopoldina mimo symulowanego procesu, nie kończy się pobiciem partyjnych wykładowców, a przybyły do strajkujących rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Alfred Jahn znajduje właściwe słowa i przekonuje studentów do opuszczenia gmachu. Późniejsze aresztowania mają mniejszy zasięg niż w stolicy, to



miasto jednak przeszło swój chrzest rewolty i represji, wykuło swych niepokornych, pierwszych opozycjonistów.

Pierwsza miłość Anny, zwieńczona małżeństwem przetrwa cały ten okres wyroku z zawieszeniem, aż do kolejnych rozruchów. Wówczas jednak starcie ułoży się już według innych podziałów. Piotr pozostaje w roli niezłomnego walczącego o wolność, ale dla Anny obowiązek trwania na posterunku przestaje być jednoznaczny. Studia na filologii angielskiej otworzyły jej nowe perspektywy, obudziły na inne pragnienia. Kanon zrywów patriotycznych zaczyna ją uwierać, widzi w nim błędne koło. Paradoksalnie, pogarszająca się sytuacja polityczna ofiaruje jej szansę wyjazdu na stypendium do Kanady, czyli wyrwanie się z lokalnego marazmu. Podejmują decyzję jeszcze wspólnie z Piotrem, ale Anna sama wylatuje za ocean. Zobaczyć, jak wygląda „normalne” życie.

Jakie postacie potrzebne były autorce, aby problem zdrady tak przesunąć na mapie XXI-go wieku by czytelnik dostrzegł sens w owijającej go szczelnie historii? Obok Polaków musieli pojawić się Niemcy, nie do pominięcia w dziele o rozmachu powojennej epepei. Jej konstrukcja spoczywa na barkach pięciu głównych protagonistów, których charakter wykuła wojna lub jej konsekwencje, a teatrem jest Wrocław-Breslau: tam zaczynają się i tam wiodą główne nici ich losów. Stamtąd wyjeżdża Anna i tam musi wrócić. Na osi łączącej dwa uniwersytety: wrocławski i McGill w Montrealu obróci się świat tych wyrazistych postaci.

Käthe, córka profesora, wchodzi w dorosłe życie na sekundę przed burzą, nie podejrzewając, że piękny spacer i miłosne godziny letnie nad Odrą z zakochanym, pięknym oficerem SS to ostatnie momenty jej cywilizowanego życia. Potem nastąpi już tylko horror i heroiczny wysiłek: zapomnieć i tak wychować dziecko, jakby nikt jej nie zdradził. Wrocław kapituluje 6 maja 1945 roku, kiedy nie jest już miastem – to „pole nieskończonych ruin, cuchnącej spalenizny, odoru i niezliczonej ilości wielkich much”. (W. Kania: Pamiętniki z lat 1945-48).

„*Non omnis moriar*” – zdaje się mówić Ewa Stachniak. Jej silna bohaterka, Käthe, zdoła przenieść kulturę swego uniwersyteckiego domu rodzinnego na syna.

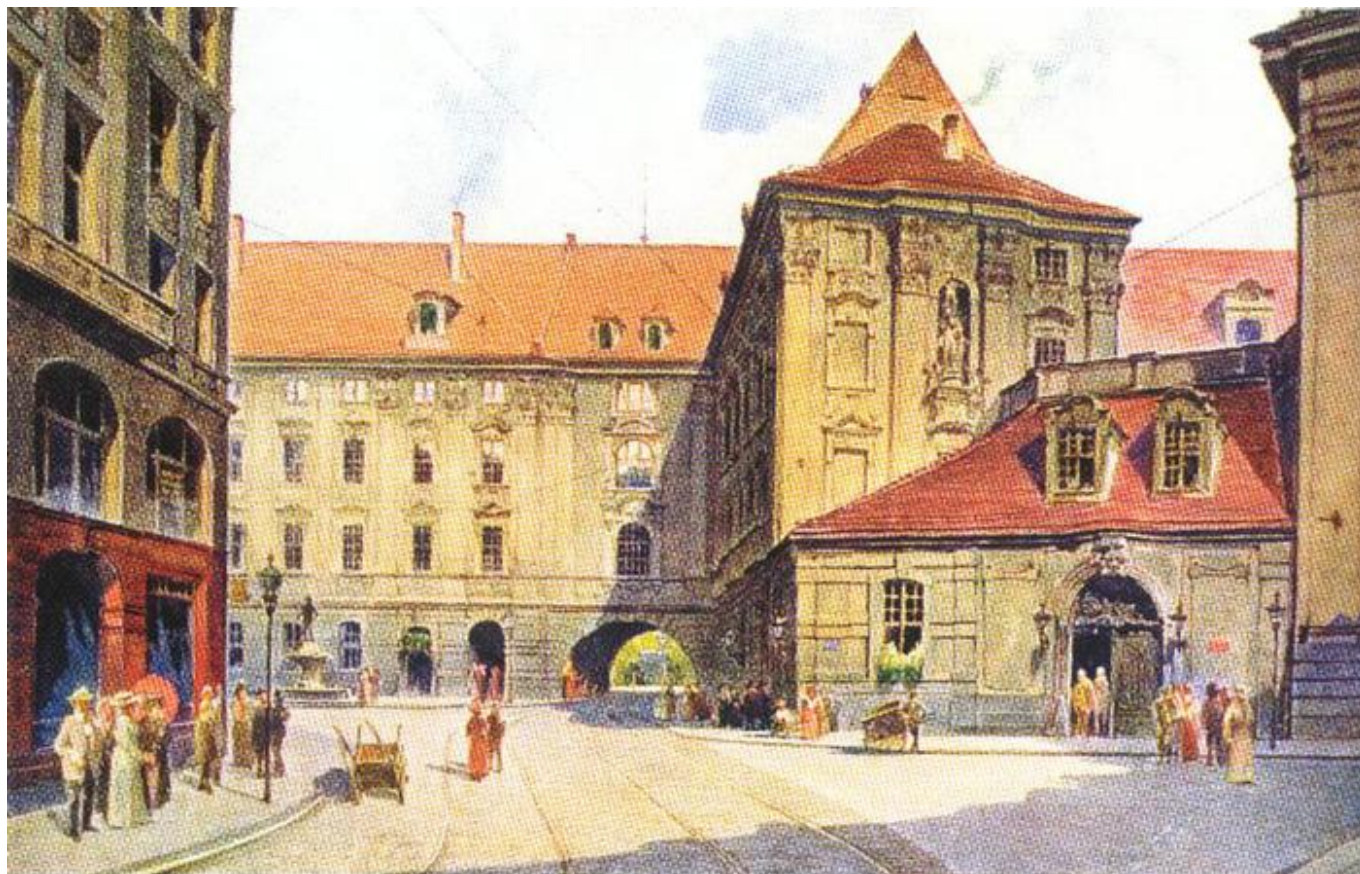
- Willi wyrósł na porządnego człowieka, „ja”? – pyta. – Tak – odpowiada miękko Anna  
- na bardzo porządnego człowieka.

Zwycięstwo nad koszmarem i beznadzieją – to niewątpliwe przesłanie tej powieści. We wrocławskim tyglu dokonuje się zaskakująca metamorfoza tradycji romantycznej. I ten nowy stop dwóch mitów zachowa poświęcenie, ale o jakże innym odcieniu. Lękami wojennej grozy dotknięty jest William, syn Käthe, ów muzykolog z katedry Uniwersytetu McGill, który tak zafascynował Annę i odwiódł od poprzedniej miłości. Polka jednak nie przeżyje jej jako zdrady męża i kraju. „Kiedyś, gdy zakochała się w Williamie, modliła się, by przy nim stać się lepsza, by nauczyć się więcej zrozumieć”. Profesor William Hertzmann, przy całym swym talencie muzycznym, nie jest jednak demiurgiem niemieckim, lecz artystą o sercu przeciążonym głuchym pogłosem wojennego dzieciństwa. Ów nowy romantyzm kanadyjsko-wrocławski wieńczy niezwykła sylwetka Ursuli. Innej miłości Williama, fotoreporterki, która wyłania się niczym Feliks z popiołów dawnych Niemiec. Wypadła z pudła dokumentów pod postacią listów i gwałtownie sparzyła Annę. Zamieniła rozpacz nieutulonej w żalu wdowy na piekący szok. Ursula jest zwornikiem całej powieści, to kobieta terażniejszości-przyszłości. Dojrzała emocjonalnie, niezależna, wrażliwa, nie ugina się pod ciężarem kostiumu dawnych ról społecznych, ale przede wszystkim jest odważna i gotowa zaakceptować miłość bez wyłączności.

Czym ostatecznie są „Konieczne kłamstwa”? Literaturą rodzących się nowych pokoleń, żyjących w kilku krajach naraz, penetrującą bardziej przenikliwie ów obszar bliższy współczesnej wrażliwości niż klasyczna literatura narodowa? Spojrzenie Ewy Stachniak przekraczając tradycyjne granice nie zwraca się bynajmniej w stronę dawnego kosmopolityzmu czy takiej globalizacji, gdzie kultura owych wysoko wyspecjalizowanych specjalistów wystarczy dla ułożenia akcji czy zamknięcia bohaterów w mrocznych konfliktach ich psychiki. Z kanadyjskiego punktu obserwacyjnego widać najwyraźniej nowe oblicze emigracji: już nie tylko ucieczkę, tymczasową czy trwałą z kraju, który przerażał uciskiem, niewolą, albo jednym i drugim, czy choćby tylko z kraju, który pewnych ambicji nie był w stanie spełnić. Ewa Stachniak jest pierwszą pisarką o wizji, która dostrzega swych bohaterów na jednym, wzajemnie uzupełniającym się planie: Kanady ocieplonej promieniem historii europejskiej.

Książka Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa”, która ukazała się w polskiej wersji językowej w grudniu 2004, nakładem wydawnictwa „Twój Styl” poruszyła swoją problematyką polskojęzycznych czytelników. Wywiad z autorką oraz z tłumaczką

powieści Katarzyną Bogucką-Krenz, opublikowany w noworocznym numerze „Listu Oceanicznego” spowodował, że do redakcji zaczęły napływać listy z refleksjami. Wśród nich dostaliśmy tę wnikliwą recenzję, napisaną przez Wrocławiankę, od 1981 roku mieszkającą w Paryżu. „Jestem polską anteną paryskiej EHESS (Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales) – napisała pani Magda Dunikowska – dla projektu, właśnie zaakceptowanego przez Conseil d’Europe, badającego aktualną tożsamość obecnego pokolenia żyjącego w paru kulturach. Nazywa się on MONDES MULTIPLES et IDENTITES PLURIELLES (światy wielokrotnej i mnogiej tożsamości). Niedawno w Polskiej Ambasadzie w Paryżu przedstawiłam tekst wprowadzający z prośbą o przekazanie go polskim uczelniom i zachęceniem do udziału w projekcie. Rozmawiałam z architektem tego programu na temat Wrocławia widzianego przez pierwsze pokolenie rozpracowujące ową wielokrotną przynależność. Temat ten zainteresował go na tyle, iż zaczął rozważać, aby przyszłoroczne seminarium IDENTITE et UNITE de l’HOMME zorganizować właśnie we Wrocławiu! Najwyraźniej nadszedł czas na budowanie takich grup międzynarodowych, w których Polska nie będzie funkcjonować wyłącznie poprzez pryzmat klasycznego modelu Polonii”.



Wrocław na starej pocztówce

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2005 r.

---

## Konieczne kłamstwa (fragm.)



Montreal

**Ewa Stachniak**

Przełożył Zbigniew Stachniak

**Część I: Montreal 1981**

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałyby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami. Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznamych. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałyby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starła się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiegokolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czuła jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak



byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka miesięcy oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. —Jedź. Krawędź fotela uciskała jej biodro. Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. —Teraz? Kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

*[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]*

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. "Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się," wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałyby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O - C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO - CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką zonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza byłych

pokoje—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców, mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacerunki wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

....

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie. Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

## **Część II: Montreal 1991**

*[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealskim uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]*

str. 96-104.

W teczce "Osobiste" Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego

charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyła się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych liniijkach pisma, odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand.* Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

*Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Cz czego więcej nam potrzeba? Urszula*

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

*Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.*

*Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.*

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które

przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—“Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę świątyni”—powiedział kiedyś. Sentencja z “Proroka”, jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn— powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwoń—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałyby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

*Dziś skończyłam “Twarze kobiet”. Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samozniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i džinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i*

*odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt łatwo zajmuję się głupstwami, poddam się chwilom bez znaczenia.*

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

*Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciąglej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.*

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na korytarzu słychać odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjś głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszysz. —Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

*Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwońłeś w trakcie sesji. Próbowalam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że splotęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj robi, gdy się zaczyna rozpadać na kawałki. “Je me*

*souviens?" Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych samochodów?*

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż tak dużo o Piotrze.

*Październik, 1979. Czerń jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.*

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw. Zanurzam się w takie dni bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry. Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. "Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków." Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

*Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepione. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.*

Anna sprawdza pieczątki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące “fotograf” nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. —Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki - czyta. Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy.* - Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.

*Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmiechem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi poodychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.*

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraza mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

*Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich*



*gestów zadośćuczynienia?*

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalałam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

*Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpacz. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.*

*Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoiłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.*

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki

miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem: *L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel*. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

*Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.*

*Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowiuutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzylam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobały Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowałam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.*

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic moglibyśmy dojść,

czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja... przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego, powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoiła.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko,

jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?



Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

*Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” - dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.*

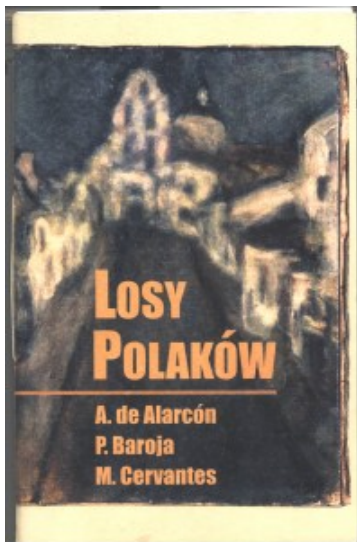
„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.

---

# Opowiadanie Polaka

Miguel Cervantes

tłum. Florian Śmieja



na okładce  
wykorzystano obraz  
Wilka Markiewicza.

Pątnicy dostrzegli wówczas opodal na gościńcu zbliżającego się jeźdźca. Kiedy się z nimi zrównał, zdjął kapelusz na powitanie, lecz w tym samym momencie jego konisko potknąwszy się, jak się później okazało, na wyboju, runęło ze swoim panem na ziemię.

Wszyscy natychmiast rzucili się podróżnemu z pomocą, sądząc, że się dotkliwie potłukł. Chłopak Antonio złapał konia (był to wielki ogier) za uzdę, a jego panu pomagano wstać i dano lekarstwo w podobnych wypadkach stosowane: łyk wody. Stwierdziwszy, że nie odniósł żadnego szwanku, jak się obawiali, powiedzieli mu, że może z powrotem dosiąść wierzchowca i jechać dalej. On jednak odparł:

Waszmościowie, może to zrządzeniem losu spadłem w tym miejscu na ziemię, abym mógł powstać z niebezpieczeństw, w które wyobraźnia uwikłała mojego ducha. Chociaż o to nie pytaliście, pragnę wam oznajmić, że jestem cudzoziemcem i polskiej

nacji. Swój kraj opuściłem będąc jeszcze chłopcem i przyjechałem do Hiszpanii, do tej Mekki cudzoziemców i wspólnej matki narodów. Służyłem Hiszpanom, opanowałem język do tego stopnia, jak mnie słyszycie. Gnany powszechnym pragnieniem ujżenia obcych krajów, pojechałem do Portugalii zobaczyć wielkie miasto Lizbonę. W sam wieczór mojego przyjazdu do tego miasta wydarzył mi się niezwykle wypadek, w który możecie wierzyć lub nie, prawda znajdzie ostoję chociażby tylko w sobie samej.

Zaimprovizowana lecz doskonała przemowa niefortunnego jeźdźca zdziwiła Periandra, Huristelę i pozostałych towarzyszy. Pragnąc więc go wysłuchać, prosił go Periander, aby ciągnął dalej swoją opowieść, gdyż wszyscy mu wierzyli, zarówno powodowani kurtuazją, jak własną znajomością świata.

Pokrzepiony tym na duchu podróżnik mówił dalej:

- Pierwszego wieczoru w Lizbonie szedłem jedną z głównych ulic zwanych tam 'rua', szukając gospody, bo nie podobała mi się ta, w której stanąłem. W pewnej chwili, kiedy przechodziłem przez wąskie i brudne przejście, jakiś zamaskowany Portugalczyk trącił mnie z taką mocą, że upadłem. Krzywda, jaką mi wyrządził, obudziła we mnie tak szalony gniew, że pomstę powierzyłem szpadzie. Dobyłem jej, a Portugalczyk nie pozostał dłużny, broniąc się dzielnie i zręcznie. Czarna noc i czarniejszy jeszcze los sprzyjając mi sprawiły, że os-trze mojej szpady raziło go w twarz, tak że się odwrócił i runął na ziemię, a dusza uleciała Bóg tylko wie dokąd. Natychmiast strach przywiódł mi mój czyn przed oczy, przeląknęłem się i szukałem w ucieczce ratunku. Chciałem zbiec, lecz nie wiedziałem dokąd? Odgłos ludzi, który zdawał się iść za mną, dodał nogom moim skrzydeł, więc nerwowymi susami przemierzyłem ulicę szukając, gdzie by się ukryć lub znaleźć miejsce na otarcie szpady, aby, gdy mnie zatrzyma straż, nie było wyraźnych śladów zbrodni. Nieprzytomny już od strachu ujrzałem światło w okazałej kamienicy i wpadłem do wnętrza sam nie wiedząc, po co. Znalazłem się w otwartej, pięknie umeblowanej sali. Wszedłem następnie do równie eleganckiego pokoju i wiedziony przez światło płonące w dalszym pomieszczeniu, zobaczyłem w wytwornym łożu damę, która przerażona usiadła pytając kim jestem, czego szukam, dokąd idę i kto mi zezwolił zapuścić się tak daleko bez żadnego respektu?

Odparłem:

- Pani, nie mogę ci odpowiedzieć na tyle pytań, mogę jedynie objaśnić, że jestem cudzoziemcem, który, zdaje się, zabił człowieka na tej ulicy bardziej z powodu nieszczęścia i jego lekkomyślności, niż z własnej winy. Błagam cię na Boga i godność twoją, obroń mnie przed ręką sprawiedliwości, bo sądzę, że jestem ścigany.

- Jesteś Hiszpanem? - spytała po portugalsku.

- Nie, pani - odpowiedziałem jestem cudzoziemcem. Mieszkam daleko od tej ziemi.

- Nawet, gdybyś był waćpan Hiszpanem, obroniłabym ciebie, gdy-by to było w mojej mocy. Obronię cię, jeżeli potrafisz. Przejdź przez łóżko i schowaj się za arras w niszy, którą tam znajdziesz. Tylko nie ruszaj się, bo gdy przyjdzie straż, uszanuje mnie i uwierzy w to, co jej zechcę powiedzieć.

Uczyliem natychmiast, co mi przykazała. Uniosłem arras, znalazłem wgłębienie i wcisnąłem się w nie. Wstrzymałem oddech i zacząłem polecać się opiece Boskiej, jak tylko umiałem. Kiedy pograżyłem się w tym nastroju, do alkowy wpadł służący wołając:

- Pani, don Duarte, pan mój, zabity. Niosą go tutaj zgasłego odepchnięcia szpadą na wylot przez prawe oko. Nie wiadomo, kim jest zabójca i co było przyczyną starcia, bo nawet szczękę broni nie było słychać. Jedynie chłopak jakiś widział, jak uciekający mężczyzna wbiegł do tego domu.

- To on bez wątpienia jest jego zabójcą - odpowiedziała pani - i nie ucieknie. Ach, ile razy obawiałam nieboga, że zobaczę, jak wnoszą syna bez życia, bo jego butne poczynania nie wróżyły nic innego, jak nieszczęście!

Czterech mężczyzn wniosło na barkach zmarłego i położyło go na ziemi na oczach bolejącej matki, która zaczęła lamentować.

- Ach, zemsto, jak dobijasz się do drzwi mojej duszy! Ale nie stanie się podług twojej woli, bo muszę dotrzymać słowa, choć boleść tak mnie ponosi!

- Wyobraźcie sobie państwo, co czułem, słysząc żałościwe słowa matki, której - tak

mi się zdawało – obecność zabitego syna pod-suwała tysiące rodzajów zadania mi śmierci, by się zemścić, bo było jasne, że musiała mnie uważać za zabójcę syna. Ale cóż innego mogłem zrobić, niż tylko milczeć i czekać w desperacji. Do pokoju wszedł strażnik, który z uszanowaniem zwrócił się do pani;

- Kierowani wyznaniem pewnego chłopca, który twierdzi, że do tego domu uciekł zabójca panicza, odważyliśmy się wejść.

Nastawiłem ucha i w napięciu oczekiwałem odpowiedzi nieszczęsnej matki, która okazując wspaniałomyślność ducha i chrześcijańską pobożność, odpowiedziała:

- Jeżeli człowiek ów wszedł do tego domu, to w każdym bądź razie nie do tego pokoju. Możecie go szukać, choć będę prosiła Boga, byście go nie znaleźli, bo źle naprawia się śmierć drugą śmiercią, tym bardziej, jeżeli krzywda nie została wyrządzona ze złej woli.

Strażnicy poszli przeszukać dom, a mój duch wrócił do mnie, bo był mnie już odszedł.

Pani poleciła wynieść ciało syna i przygotować je do pochówku. Nakazała również, by ją zostawiono samą, bo nie czuła się na siłach przyjmować kondolencje i pocieszenia licznych krewnych, przyjaciół i znajomych. Potem zawołała jedną ze swoich panien, widocznie najzaufańszą, i powiedziawszy jej coś na ucho, kazała jej zamknąć za sobą drzwi. Zrobiła tak. Wówczas pani usiadła na łóżku a dotknąwszy arrasu położyła ręce na moim sercu, którego szybkie bicie zdradzała strach, jaki je ogarniał. Kiedy to poczuła, rzekła łagodnie i smutno:

- Człowieku, ktokolwiek jesteś, wiesz, że zabrałeś mi oddech, światło moich oczu i życie samo, które mnie na tej ziemi trzymało Ale ponieważ rozumiem, że stało się to nie z twojej winy, chcę by moje słowo oparło się zemście i dlatego, aby dotrzymać obietnicy, że cię uwolnię, którą ci dałam, kiedyś tutaj wszedł, musisz zrobić to, co ci teraz każę. Zasłoń sobie twarz rękami, abym, jeżeli przez pomyłkę otworzę oczy, nie mogła ciebie w przyszłości rozpoznać. Wyjdź stąd z moją dziewczyną, która zaraz tu przyjdzie. Ona cię wyprowadzi na ulicę i da ci sto escudów w złocie, aby ułatwić ci ucieczką. Nikt cię nie zna, nikt nie podejrzewa. Weź się w garść, bo niepokój zazwyczaj zdradza sprawcę.



Na to weszła panna. Wszedłem zza arrasów zakrywając twarz ręką i na znak wdzięczności na klęczkach pocałowałem łóżko w nogach podążając następnie za dziewczyną, która milcząco ujęła mnie za ramię i przez tajne drzwi wyprowadziła na ulicę.

Znalazłszy się tam, najpierw wytarłem szpadę i spokojnym krokiem skierowałem się na główną ulicę, gdzie rozpoznałem moją gospodę i wszedłem do niej, jakby nic się nie przydarzyło. Właściciel opowiedział mi o śmierci rycerza wyolbrzymiając szlachetność jego rodu a także zarozumiałość charakteru, która miała mu stworzyć tajemniczego wroga i przyspieszyła jego śmierć.

Ową noc spędziłem na modlitwie, Bogu dziękując za odebrane łaski oraz na rozpamiętywaniu bohaterskiego i nigdy przedtem nie spotkanego ducha chrześcijańskiego i wspaniałego czynu pani Guiomar de Sosa, bo tak się nazywała moja dobrodziejka. Rankiem pojechałem nad rzekę i zastałem tam łódź pełną ludzi, którzy udawali się na pokład wielkiego galeonu stojącego w Sangian, a mającego płynąć do Indii Wschodnich. Wróciłem do gospody, sprzedałem wierzchowca właścicielowi i spieniężywszy wszystko, co posiadałem, wróciłem nad rzekę do łodzi. Następnego dnia stałem daleko od portu na pokładzie galeonu, który podał żagle wiatrowi i prął obraną drogą.

W Indiach spędziłem piętnaście lat, służąc jako żołnierz z dzielnymi Portugalczykami. Spotkało mnie tyle przygód, że można by napisać przyjemną i prawdziwą opowieść, głównie o czynach nie zwyciężonego w tamtych stronach narodu portugalskiego, godnych wieczystej chwały naszych czasów i wieków przyszłych. Tam uzbierałem trochę złota i pereł oraz rzeczy o większej wartości niż ciężarze i wróciłem z nimi do Lizbony, korzystając z powrotu do niej generała. Stamtąd wybrałem się w drogę do ojczyzny, zdecydowawszy najpierw zwiedzić wszystkie większe i piękniejsze miasta hiszpańskie. Dobytek spieniężyłem i wziąłem przekazy na wydatki potrzebne w podróży, bo najprzód zamierzałem jechać do Madrytu, do którego niedawno sprowadził się dwór wielkiego Filipa III. Ale fortuna moja, znudzona noszeniem łodzi mojego losu po morzu życia ludzkiego przy pomyślnym wietrze, zechciała by łódź ta najechała na mieliznę i doszczętnie się tam rozbiła. Żrządziła więc, że pewnego wieczoru przybyłem do Talawery, miejscowości leżącej niedaleko stąd. Za-trzymałem się w pewnym zajeździe, który nie był mi

zajazdem, ale grobem, bo tam pogrzebałem mój honor.

O przemożna mocy miłości, miłości, mówię, nieopatrznej, chciwej i źle zamierzonej, z jaką łatwością depczesz po dobrych zamiarach, czystych intencjach, rozsądnych propozycjach! Kiedy więc stałem w owej gospodzie, weszła do niej dziewczyna mająca lat około szesnastu; tak mnie się przynajmniej wydawało, choć później dowiedziałem się, że liczyła dwadzieścia dwa lata. Miała upięty warkocz, a odziana była schludnie w gorset i spódnicę z samodziału. Kiedy przeszła obok mnie, wydało mi się, że pachnie jak kwitnąca łąka w maju i zapach ten, pobudzający zmysły, przewyższał wonie Arabii. Podeszła do pewnego młodzieńca w zajeździe i mówiąc mu coś do ucha parsknęła śmiechem, po czym pokazawszy mu plecy wybiegła z zajazdu do domu naprzeciwko. Chłopak pobiegł za nią, a nie mogąc jej doścignąć, kopnął ją tak, że rymnęła jak długa. Widziała to inna dziewczyna z zajazdu i gniewem uniesiona odezwała się do parobka:

— Na Boga, Alonso, źle robisz, bo Luiza nie zasłużyła na to, byś ją kopał.

— Jako żywo, nie będę jej takich kopniaków żałował — odpowiedział Alonso.

— Zamilcz, droga Martino. Takie żywe panienki zasługują na to, by im nie żałować nie tylko ręki ale i nogi.

To powiedziawszy zostawił mnie z Martiną, którą spytałem, kim jest Luiza i czy jest zamężna, czy nie.

— Jest panną — odrzekła Martina — ale wnet będzie żoną tego Alonsa, któregoś waćpan widział, bo rodzice już się porozumieli w sprawie małżeństwa. Alonso waży się kopać ją, jak tylko mu dokuczy, a tylko bardzo rzadko na takie traktowanie sobie nie zasłuży. Bo jeśli mam być szczerą, Luiza jest nieco zuchwała, swawolna no i rozpuszczona. Mówiłam już jej dosyć o tym wszystkim, ale bez skutku. Nie zmieni się, choćby jej oczy wykłuli. Bo zaprawdę najlepszym posagiem, jaki kobieta może wnieść, jest skromność. Bóg zapłać mojej matce, która nie pozwalała mi patrzeć na ulicę nawet przez dziurkę, a co dopiero wychodzić na próg do bramy. Dobrze wiedziała, że, jak zwykła była mówić, kobieta i kura itd. (padają ofiarą wychodzenia z domu, przyp. FS)

— Powiedz mi, pani Martino — odpowiedziałem — jak to się stało, że z surowości owego nowicjatu dostałaś się na szerokie wody zajazdu?

— Dużo by się o tym dało powiedzieć — rzekła Martina, a i ja miałbym więcej o tych sprawach do powiedzenia, gdyby się na to znalazł czas i pozwoliła boleść, którą w duszy noszę.

Z zajęciem słuchali pielgrzymi cudzoziemca i bardzo chcieli dowiedzieć się, jaką to boleść ów Polak w swoim sercu nosił, gdyż obolałości ciała sami się domyślali. Odezwał się więc Periander:

Opowiedz waćpan, co chcesz i tak obszernie, jak umiesz, bo często szczegóły urozmaicają i upiększają opowiadanie. Toć na uczcie przecież obok pieczonego bażanta stawia się miskę zielonej, świeżej, smacznej sałaty. Sosem każdej opowieści jest szczególny język, w który jest ubrana. Więc ciągnij pan ową historię, opowiedz o Luizie i Alonso, kop Luizę, ile ci się tylko podoba, wydaj ją lub nie wydaj za męż. Niech będzie swawolna, rozpuszczona jak dziki sokół, bo najważniejszą, rzeczą, podług mojej astrologii, nie jest jej swawola, ale jej dalsze losy.

- W takim razie - odpowiedział Polak - mogę was zapewnić, że z waszym przyzwoleniem dam pod wasz osąd wszystko, co wiem. Skupiwszy cały rozsądek, jakim rozporządzałem, a musiało go być niewiele, przez całą noc rozważałem wdzięk, urok i swobodę tej, jak mi się wydawało, nie mającej sobie równej, sąsiadki czy znajomej mojej gospodyni. Układałem tysiące planów, zbudowałem tysiące zamków na lodzie, żeniłem miałem dzieci i funta kłaków nie dawałem za to, co o mnie mówiono. W końcu postanowiłem porzucić pierwotny zamiar wyjazdu i pozostać w Talawerze jako mąż bogini Wenus, bo dziewczyna, chociaż bił ją parobek z zajazdu, wydała mi się nie mniej piękna od Wenus. Na tym przeszła noc. Rano zbadałem puls i doszedłem do wniosku, że stracę życie, jeżeli wnet nie poślubię tej chłopki, bo jej oczy zniewoliły mnie zupełnie. Usuwając wszystkie przeszkody, postanowiłem pomówić z jej ojcem i poprosić go o jej rękę. Pokazałem mu perły i pieniądze, chwaliłem swoją przemyślność i gotowość, by bogactwo, nie tylko zachować, ale jeszcze pomnożyć. Te argumenty i widok moich dóbr sprawiły, że stał się miększy od rękawiczki i zgodził się na wszystko, szczególnie kiedy widział, że nie żądam posagu i zadowolę się jedynie urodą córki.

Alonso popadł w rozpacz, a Luiza, moja żona, w gniew, jak to wykazały wypadki, które się wydarzyły dwa tygodnie później, przynosząc mi ból, a jej niesławę. Mianowicie, żona moja zabrawszy część klejnotów i pieniędzy, za namową i z pomocą Alonsa, uciekła z Talawery, zostawiając mnie, żałującego, na pośmiewisko. Przez długi czas nie mówiono w mieście o niczym innym, jak tylko o jej przewrotności i szelmostwie. Krzywda nakłaniała mnie do zemsty, ale nie było na kim się, mścić, chyba na samym sobie. Nieraz brałem do ręki powróż, żeby się powiesić. Los jednak, może w celu naprawienia szkód mi wyrządzonych, sprawił, że ujęto moich wrogów i osadzono w więzieniu w Madrycie. Powiadomiono mnie, bym przyjechał i postawił ich przed trybunałem. Jadę przeto, by ich oskarżyć i zażądać sprawiedliwości. Jadę zdecydowany, aby krwią zmyć plamy na moim honorze i przez pozbawienie ich życia zrzucić z barków ciężar ich postępków, który mnie przytłacza i niszczy. Muszą umrzeć, jak Bóg na niebie. Na Boga, że muszą się zemścić. Bóg mi świadkiem, że świat cały musi się dowiedzieć, że krzywdy nie darują, a cóż dopiero takiej, która sięga do dna mojej duszy. Jadę do Madrytu. Już się czuję lepiej po upadku i mogę dosiąść konia. Nie przepuszczę nawet komarom! Nie chcę słyszeć ani próśb zakonników, ani płaczu dewotek, ani przyrzeczeń czułych serc, ani darów bogaczy, ani rozkazów wielmożów, ani całego zgiełku, który zwykł w podobnych wypadkach powstawać. Mój honor musi wznieść się nad krzywdą, jak oliwa wypływa na wodę.

To rzekłszy podniósł się szybko i lekko, aby wsiąść na konia i kontynuować wojaż. Widząc to, Periander ujął go za ramię i zatrzymał mówiąc:

- Waszmość, zaślepiony gniewem, nie umiesz dostrzec, że w ten sposób rozniesiesz i powiększysz swoją niesławę. Dotąd jesteś zniesławiony tylko u tych, którzy cię znają w Talawerze, a tych musi być niewielu, a teraz będziesz znany tym, którzy o tobie usłyszą w Madrycie. Chcesz być tym wieśniakiem, co w zanadrzu hodował żmiję przez całą zimę i za łaską Niebios nie znalazł jej, bo uciekła, kiedy nastąpiło lato, a ona mogła użyć jadu. Wieśniak, nie bacząc na łaskę Niebios, począł szukać tego, czego znalezienie nie wróżyło nic dobrego. Bo głosi przysłowie: 'Uciekającemu nieprzyjacielowi buduj srebrny most', a także: 'Największym nieprzyjacielem męża jest jego własna żona'. Ale to chyba znajduje usprawiedliwienie u innych wyznań, a nie u chrześcijan; u wyznań, gdzie małżeństwa są pewnego rodzaju układem i ugodą, jak wynajęcie domu czy innej nieruchomości. Wedle wiary katolickiej natomiast

małżeństwo jest sakramentem, który jedynie śmierć rozwiązuje lub warunki surowsze od śmierci, zwalnające małżonków od współżycia z sobą, lecz nie rozwiązujące węża, którym zostali związani. Czyżby waćpan co zyskał, oglądając swych wrogów ujętych przez prawo, związanych i poskromionych na publicznym widowisku dla tłumnej gawiedzi, widząc, jak błyszczące ostrze toporu na szafocie godzi w ich karki? Jakby ich krew potrafiła, jak waćpan mówisz, oczyścić twój honor! Cóż możesz tym zyskać, jak nie powiększenie niesławy? Bo zemsta karze, ale nie usuwa winy. Krzywdy, które nam wyrządzono, jeśli nie zostały naprawione z dobrej i nieprzymuszonej woli, wciąż trwają i żyją w pamięci ludzkiej, przynajmniej, póki żyje osoba pokrzywdzona. Dlatego wejrzyj waćpan w serce swoje i okazawszy miłosierdzie, nie domagaj się sprawiedliwości. To nie znaczy, że radzę zonie wybaczyć i przyjąć ją z powrotem do domu, bo nie ma takiego prawa, które by do tego zmuszało. Radzę ją porzucić, co jest najcięższą karą, jaką, ją można ukarać. Żyj z dala od niej, a będziesz żył, co byłoby nieprawdopodobieństwem, gdybyście byli razem, bo ciągle byście umierali. Rzymianie często używali prawa odrzucenia, chociaż godniejszym chrześcijanina miłosierdziem byłoby wybaczyć jej, przyjąć ją, znieść i radzić jej. Trzeba najpierw zmierzyć swoją cierpliwość i poczynać bardzo roztropnie; przymioty to, którym tylko niewielu może zaufać w tym życiu, szczególnie, jeśli są one wystawione na tak ciężką próbę. Wreszcie weź pod uwagę, że popełnisz grzech śmiertelny odbierając im życie, czego czynić nie wolno nawet dla wszelkich korzyści, które światowa sława przynieść może.

Raptus Polak wysłuchał tych rad Periandra z uwagą, a mierząc go od stóp do głów spojrzeniem odpowiedział:

— Waćpan mówiłeś ponad swój wiek. Rozum twój idzie przed latami, a dojrzałość umysłu przed zielonością żywota. Anioł kładł ci w usta słowa, które uśmierzyły moją zawziętość. Nie pragnę bowiem teraz niczego, jak tylko powrotu do mojej ziemi i złożenia Bogu podziękowania za okazane łaski. Pomóż mi wstać, bo jeżeli gniew mi przywrócił siły, nie wypada, by mnie ich zbawiła rozważna cierpliwość.

— Wszyscy chętnie to uczynimy- odparł Antonio, ojciec.

Pomogli mu wsiąść na konia, on zaś uściskawszy każdego oświadczył, że postanowił wrócić do Talawery, by uregulować sprawy swojego majątku, a potem z Lizbony

odpłynąć do ojczyzny. Podał im swoje nazwisko: Ortel Banedre, co po hiszpańsku znaczy Marcin Banedre i polecając się ich pamięci zawrócił w stronę Talawery, zostawiając wszystkich w podziwie dla swoich przygód i umiejętności ich opowiedzenia.



Miguel Cervantes

*Opowiadanie pochodzi z książki „Losy Polaków”, trzy opowiadania hiszpańskie w tłumaczeniu Floriana Śmieji, wyd. Silcan House, Mississauga 2003 r., projekt okładki Wilek Markiewicz.*